

Z e m s t a



— Pan jest pewno murzynem?
— Jak pan to zgadł?
— Jakiś? Odrzuć poznałem po akcencie.

WOLNE KOŁO

Na dziedzińcu koszarowym odbywa się lekcja gimnastyki, którą prowadzi pan kapral. Rekruci leżą na plecach, czekając na komendę.

— A teraz — woła kapral — podnieście obie nogi i wymachujcie tak, jakbyście jechali na rowerze.

Wszyscy spełniają rozkaz za wyjątkiem pewnego młodzieńca, który leży spokojnie z wyciągniętymi nogami.

— Hej, rekrut Puciak, dlaczego nie machacie? — krzyczy podoficer.

— Bo ja, panie kapral, mam rozkaz z wolnym kołem.

W ZAKŁADZIE DLA OBLĄKANYCH



Dyrektor: — Czy pan sprowadził tutaj z ulicy tych trzech wariatów?

Pielęgniarka: — Trzech? Wnieśliśmy tu dziewięciu.

UWIERZY

Córka zwierza się matce:

— Chętniebym wyszła za Antosia. Cóż, kiedy to ateusz.

— Skąd wiesz?

— Powiedział, że nie wierzy w piekło.

— Niech cię to nie zraża. Wyjdź za niego zamąż, a już we dwie go przekonamy, że jest w błędzie.

SPIEWAJĄCA KUCHARKA

Pastor angielski wyjechał na odpoczynek do miejscowości nad morską. Zatrzymał się w pensjonacie. Mile go zaskoczył fakt, że kucharka, pracująca rankiem, śpiewa psalmy nabożne. Ale uszło uwagi pastora, iż czasami śpiew bywa krótki, czasami znowu ciągnie się dość długo. Zapytał o to kucharkę.

— Wszystko zależy od gościa — odparła na to. — Jak gość zamówi jajka na miękko, to śpiewam dwa wersety, a jak zamówi omlet na szynce, to często i sześciu wersetów nie wystarcza.

PO WYJŚCIU Z TEATRU

— Bój się Boga, człowieku, pięć złotych dajesz szatniarce za podanie palta?

— Proszę cię, spójrz tylko, co za wspaniałe futro mi podała...

Nie przeczę, drodzy przyjaciele, że mściwość jest uczuciem niskim, a nawet byłbym skłonny przyznać, że chęć zemsty cechuje tylko dusze ordynarne, umysły ciasne i charakter prawdziwie spod ciemnej gwiazdy. A jednak... wyznaję z pokorą, że uczucie to nie było mi obce i raz zemściłem się w straszliwy, wyrafinowany, podły sposób. Co gorsza, jeśli mam już być szczerzy do końca, moje sumienie jest do tego stopnia czarne, że nie doznaje żadnych wyrzutów i ta haniebna karta mojej przeszłości budzi zawsze we mnie jak najprzyjemniejsze wspomnienia.

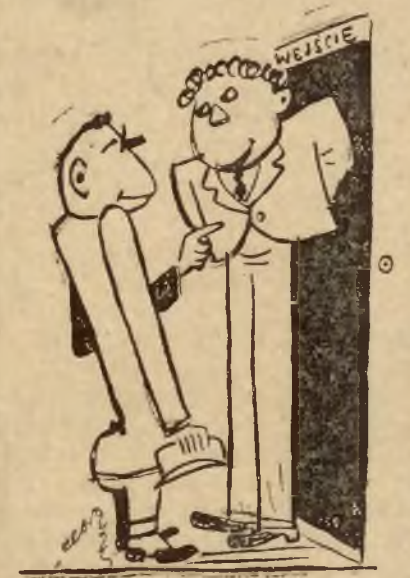
Wiem, że świadczy to o mnie jak najgorzej i nie daje żadnej nadziei na przyszłość, a właściwie daje tę nadzieję, że marnie skończę. Cóż robić jednak. Taka, a nie inna jest prawda.

Ponieważ doskonale zdaję sobie sprawę, najdrożsi, że płoniecie już żądzę poznania bliższych szczegółów tej historii, chętnie zaspokoję waszą niezdrową ciekawość.

Było to jeszcze za moich studenckich czasów. Mniejsza o rok. Dość, że właśnie szukając mieszkania, oglądałem różne, mniej lub więcej zachęcające pokoje do wynajęcia.

Po długiej wędrówce znalazłem wreszcie odpowiedni lokal. Pokój duży, jasny, wygodnie umeblowany, rodzina spokojna (dwoje starszuchów), żadnych dzieci, płaczących za ścianą, żadnych ratlerków, rzucających się na człowieka, jak wściekłe, z dzikim jękiem, bez względu na porę dnia i nocy. Punkt doskonały, bo w śródmieściu, lecz na bocznej uliczce, zgoła nieuczęszczanej przez wozy z bańkami mleka i jarzynami, dające do miasta o godzinie czwartej rano. Pierwsze piętro, a właściwie nawet nie pierwsze, bo tak zwany w tym mieście „Hochparterre”. Wreszcie: cena wyjątkowo niska.

Kiedy zgodziłem się na mieszkanie i gospodyni schowała zadatek, w drzwiach zadzwieczał dzwonek. Wszedł młody człowiek, średniego wzrostu, przysadkowaty, z długim krzyżem (zrobiłem, a krótkimi nogami (o koniu w budowy rolnicy



mówią ze wstrętem, że jest „luźno związany, na pachciarzskich nogach”). Dowiedziałem się, że pokój już wynajęty, popatrzyłem na niego wzrokiem zawistnym, jakby chciałem dać w łeb, ale pohamował się i wyszedł. Spotkałem go przed bramą, studiującego ogłoszenia w dzienniku. Ukłonił mi się, przedstawił i spytał, czy nie wzięlibyśmy z nim tego pokoju do spółki.

— Ten pokój wyjątkowo mi się podoba — mówił, mrugając za binoklami; — obleciałem już pół miasta i żaden nie był tak ładny.

Widząc, że nie bardzo chętnie słucham tej propozycji, porzuciłem ją.

— Choć na miesiąc — mówił, mrugając nieustannie. — Dziś pierwszy, koniecznie muszę się wyprowadzić, a jeszcze nie znalazłem znośnego mieszkania. Nie odmówi pan rodakowi chyba? Przez miesiąc zaś znajdę sobie coś odpowiedniego.

Ostatecznie, co miałem ro-

bić? Rzeczywiście, w obcym mieście odmówić rodakowi pomocy? Zgodziłem się. Facet od razu się rozpromienił i spytał, gdzie mieszkałem dotychczas. Okazało się, że niedaleko niego.

— Proponuję wziąć więc jedną dorożkę na wspólny rachunek — rzekł. — Taniej będzie przewieźć rzeczy.

— Pan lubi spółki — zauważyłem.

— No, pewnie. Zawsze taniej.

Od razu przy przewożeniu rzeczy wynikła pierwsza heca.



Rachunek wyniósł markę i dwadzieścia fenigów. Nie miałem drobnych, więc zapłaciłem mój nowy towarzysz, potem mieliśmy się obliczyć. Na gorze, zmieniając pieniądze, dałem mu sześćdziesiąt fenigów.

— A, przepraszam — mówi facet, — pan płaci siedemdziesiąt dwa fenigi.

— Jakim sposobem? — pytałem zdumiony. — Czy mnie pamięć myli? Rachunek wyniósł, zdaje się, markę dwadzieścia?

— Właśnie. Pan miał trzy walizki, a ja dwie, więc pan płaci trzy piąte, a ja dwie piąte. Ponieważ zaś jedna piąta ogólnego rachunku wypada dwadzieścia cztery fenigi...

— Aha, rozumiem. Racja. Ale — dodałem drwiąco — ściśle biorąc, powinienem zapłacić jeszcze więcej, bo ja dalej mieszkam, a dorożkę wziąłem sprzed mojego domu.

Myślałem, że się obrazi. Przeciwnie, uderzył się w czoło i zawołał:

— Słusznie! Ze też mi na myśl nie przyszło! Zaraz to trzeba będzie obliczyć... Ile to tak, mniej więcej, może wynosić odległość od pańskiego do mego mieszkania...

— Nie, nie, proszę pana — przerwałem, — nie ma „na oko”, nie ma „mniej więcej”. To trzeba obliczyć dokładnie. Na planie, z cyrklem w rękę.

— Doskonale — ochotczy zgodził się mój towarzysz, — zaraz obliczymy. Mam gdzieś plan.

— I jeszcze jedno — zastrzegłem się, — nie będziemy rachować samych walizek. Nas trzeba też liczyć.

— A coż to za różnica? Je-

żeli odliczymy jednakowo po jednym z nas...

— Owszem, jest różnica. Cztery siódme jest mniejsze od trzech piątych.

— He? — spytał zaskoczony. — Czyżby?

— A co pan myślał? Przeszło cztery fenigi, tak na oko licząc, dożyłbym do pańskiej kalkulacji. Niech pan obliczy. Zaczernił się lekko.

— Bo pan może myśli...

— Nie, panie. Nic sobie nie myślę. Niech pan tylko dobrze liczy. Mam do pana pełne zaufanie. Tak dalece, że apeluję

do pana, aby pan właśnie przeprowadził ten rachunek.

Wzięto tak: cała droga, oznaczona przez odcinek AC, kosztuje markę dwadzieścia fenigów. Z tego ja płacę cały kurs AB oraz cztery siódme kursu BC. Pan zaś trzy siódme BC. Proszę, tu ma pan skalę, cyrkiel, plan, ołówek, proszę siadać i liczyć. Z dokładnością do jednej tysięcznej feniga.

— A to po co?

— Po to, że z rachunku wypadną prawdopodobnie liczby niewymierne, a ja wcale nie myślę płacić za ułomność ludzkich metod matematycznych.

— No, dobrze — stropił się, — to jak się rozliczymy? Przecież w obiegu nie ma monet tak drobnych...

— Zatożymy książeczkę rachunkową i będziemy zapisywać części tysięczne na rachunku tego z nas, który je pokryje. Co tydzień będziemy robić tak zwany „clearing”, czyli wyrównanie i regulować tylko „saldo”, oczywiście w całych fenigach. Części tysięczne „saldo” znowu będziemy zapisywać na rachunku.

— A wie pan, że to dobra metoda. Rzeczywiście, tak trzeba będzie robić.

— Widzi pan. Więc proszę, niech pan rachuje.

Pocił się nad tą robotą do wieczora. Mierzył, obliczał, dzielił, mnożył, myślał się, przekreślał, zaczynał na nowo, dawał, odejmował, wreszcie skończył. Wypało na mnie siedemdziesiąt dziewięć fenigów i trzysta osiemdziesiąt cztery tysięczne.

Wtedy ja wynalazłem jakiś błąd w rachunku (od razu, z miejsca, wykazałem mu, że

salę ogólnej, podchodzi do jednego z pacjentów i mówi:

— Najmocniej pana przepraszam, ale podczas operacji został wam w pańskim żołądku rękawiczka, wobec czego będzie pan musiał zgodzić się na ponowny zabieg chirurgiczny.

Chory myślał dość długo, wreszcie pyta:

— A ile kosztuje para rękawiczek?

— Szylinga.

— To dolicz pan pół szylinga do rachunku i daj mi pan święty spokój.

SPADEK

— Zalecałeś się do Joasi i nic z tego nie wyszło.

— Bo zapytała mnie, czy nie spodziewam się jakiego spadku.

— Trzeba było powiedzieć, że masz bogatego wujaszka.

— Właśnie, powiedziałem, i teraz Joasia jest moją ciotką.

nieprawidłowo wymierzył odległość AB w stosunku do BC, gdyż miarkę przykładł w środku ulicy, podczas gdy odcinek AB jechałem prawą stroną, co w tysiącnych częściach feniga uczyni bardzo wiele, i facet musiał całą robotę zaczynać na nowo. Poszedłem spać, a on jeszcze rozwiązywał zadanie.

Rano oświadczył mi, że jest zdumiony moją przenikliwością: rzeczywiście, różnica jest aż trzydziestą.

Zamiast miesiąca, mieszkał u mnie przeszło pół roku. Liczyliśmy wszystko: tyżeczki cukru, kawałki chleba, godziny wspólnego korzystania ze światła oraz godziny użytkowania lampy w pojedynkę. Z największą lubością dawałem mu do roboty wędzone szprotki.

Szło tego mnóstwo na ćwierć kilo, było tanie jak barszcz, stale więc co drugą wyrzucałem do kosza, twierdząc, że niedobra. Wyrzucone szprotki obciążały tego, kto je wyrzucił i w ten sposób różnica wypadła zawsze bardzo duża, a liczenia było do ciężkiej choroby.

Oczywiście rachował wszystko on i wszystko w tysiącnych częściach. Na propozycję bowiem, abyśmy się zmienili co drugi dzień, odpowiedziałem, że ja nie mam cierpliwości do rachunków, na pewno będę się mylił i zawsze któryś z nas będzie poszkodowany. I tak więc będzie musiał sprawdzić mój rachunek, a ja jemu wierzę, bo się bardzo uprzął przez ten czas.

Wprawił się rzeczywiście fenomenalnie. Bez zająknięcia odpowiadał na wszystkie pytania, które mu od niechcenia zadawałem.

— Ile wypadła jedna szprotka w czwartek?

— Trzysta siedemnaście tysięcy.

— Jakim sposobem? Przecież wczoraj wypadła tylko trzysta dwanaście?

— Bo w czwartek kazał pan kupić tylko ćwierć kilo i było dziewięćdziesiąt osiem szprotek, a wczoraj kazał pan gospodyni przynieść dwadzieścia osiem deka, i było sto trzydzieści rybek. Po co pan każe przynosić takie nierówne porcje?

— Dobrze sobie! Widzi pan przecież, ile tych rybek trzeba wyrzucać. Jakże nie powiększyć porcji przynajmniej o trzy deka?



— Tak, ale ja przez to mam więcej do liczenia.

— To trudno, proszę pana. Lepiej się trochę pomęczyć przy liczeniu, niż stracić na niezjedzonych szprotkach.

Tak się mściłem na tej żmudzie. Raz kazałem przynieść dwadzieścia trzy deka. Raz dwadzieścia jeden. Raz dwadzieścia cztery. Raz dwadzieścia sześć. A ponieważ kupiec nigdy nie ważył starannie, codziennie była inna cena na szprotkę.

— Jak dziś stoi szprotka? — pytałem rano, budząc się i widząc, że facet już siedzi przy stole i rachuje.

— Trzysta dziewiętnaście.

— CIF czy FOB?

— Nie rozumiem. Cóż to znaczy?

— Nic, rachuj pan.

Rachował, też i rachował, aż mu oczy wypadły, schudł i zmierzchniał. A po tych sześciu miesiącach miał wrok tak błędny, jak tygodniowe szczenię.

VERY.

USPOKOIL GO



Włamywacz: — Może pan wejść bez obawy, pańska żona śpi, jak susel.

SYGNAŁ CZY DZWONEK

Pociąg pociąg Warszawa — Katowice wyruszył w drogę. Podróżni ulokowali się jako tako. Niektórzy siedzą w wagonie restauracyjnym, inni gawędzą w przedziałach.

Raptem rozlega się syk sprężonego powietrza, następuje wstrząs raptowny i pociąg staje. Prerażony konduktor zaczyna biegać po wagonach, szukając sprawy zahamowania pociągu. Trafia wreszcie do przedziału z tabliczką: „Panie samotne”, gdzie zastaje poczciwą staruszkę.

— Czy to pani pociągnęła za sygnał?

— Ja, bo chciałam prosić o filiżankę herbaty. Ale, doprawdy, pociąg panowie zatrzymali pociąg? Czy to warto?

W WIEKU MOTORYZACJI I LOTNICTWA



— Przypuszczam, że zdążymy jeszcze na g. 10.15 na lotnisko i będziemy tam mieć połączenie. Przesiadamy się na zmotoryzowany pociąg.

LENIWY OLEŚ

Ośmioletni Oleś, kąpiąc się w Wiśle na Siekierkach, wyszedł z wody i siadł na ziemi. Siadł i zaczyna przeraźliwie ryczeć.

— Co stało się temu dziecku? — pyta zaniepokojona starsza dama.

— E, nic mu się nie stało. On zawsze jest taki leniwy — wyjaśnia piasztunka.

— Leniwy? A dlaczego krzyczy?

— Bo usiadł na pokrzywie i nie chce mu się wstać.

MIEDZY WSPÓLNIKAMI

— Należałoby go ukarać. Wobec klienta nazwał mnie osłem. Ładny pracownik.

— Ukarzymy go za zdradę tajemnic firmowych.

NIE KOPERNIK

Tęga dama z dalekiej prowincji zwiada Warszawę, jeżdżąc po mieście tramwajem. Jest zlekka podniecona i zanudza sąsiadów rozmową.

Właśnie wóz zatrzymał się na Krakowskim Przedmieściu. Dama trąca konduktora parasolką i pyta:

— Panie, czy to Kopernik?

— Nie — odpowiada z zimną krwią tramwajarz — to moje ramie.

TRUDNY WYBÓR

— Dlaczego nie wychodzisz za mąż za Władka?

— Zamało go znam.

— To wyjdź za Stefka.

— O, tego zbyt dobrze poznałam.